

II. GORAĆCOŚĆ SERCA

1.

Jechali przez szarą, spopieliałą równinę.

Samochody wyrzucają spod siebie pióropusze śmieci; droga prosta jak strzełił, potem jeden, drugi zakręt, gnają ostro, jak miraż wąż luksusowych limuzyn przemija w podmiejskim krajobrazie, lecą, gnają z fasonem, z bigłem – po kawaleryjsku.

Gdzieś w górze świeci być może słońce, bo przez niską powalę chmur sączy się seledynowe światło, które – rozpraszając się w zalegającej przy ziemi rzadkiej mgiele – barwi wszystko na kolor jasnożabi. Na polach przypuszczalnie coś rośnie: sterczą badyle, popielacieje spleść jakby lucerny, w oddali koślawią się kopki siana, bliżej, prostopadle do drogi, widać linijne wykwity chaszczy i na tej mdłobarwnej przestrzeni ostro rysują się pojedyncze drzewa, wypunktowują się pryzmy żużlu, kolorowe wysypiska śmieci, słupy telegraficzne i budy. Tu i ówdzie zabiedzone domy podchodzą ku szosie i tępo wlepiają zmętniałe od brudu okna w fantasmagoryczną kawalkadę koloru i migotań chromów; stoją w grupach, pokoleniami: tu – stare, pokaleczone, cherlawe, z liszajami na tynkach, z eternitowymi dachami połatany papą; tam – nowsze, słoniowato rozdęte, w płaskiej czapce blachy falistej, podparte w estetycznym kalectwie łukami mauretańskimi lub upiornie wymozaikowane. Stoją – oblane dookoła wyleniałymi ogródkami, w których opieszale grzebią senne kury.

Z rzadka wykwita z totalnej szarości pałac otoczony wyspą soczystej zieleni.

Ruch rósł.

Poboczem szosy podążają Polacy.

Jak wszystko – szarzy, z odcieniem zielonkawym, przypleśniali i wymięci, brną z trudem, nogi grzęzną im nawykowo, ciała przewalają się z boku na bok, ręce długie, naciągnięte – w nich torby, paczki, tłumoki, worki, siatki, pudła, wiadra, skrzynki, tobołki, blaszanki. Rozpaczliwie piszczą i skrzypią rowerzyści. Kobiety są zazwyczaj tłustsze, ruchliwsze, często o zadziwiająco rozkwitłych dupach. Wszyscy idą, pracowicie mieszając butami byt, idą nawet na rowerach – tylko autobus jedzie i jest czerwony, bo na nim robotnicza krew, a tam mrok ciżby, przyklejone do szyb woskowe twarze, bus przekrzywia się raz na prawo, raz w tył, ciągnie za sobą pawi ogon spalin.

Pędzący na czele kawalkady wóz milicyjny zaczął wyć i błyskać.

Lud przystaje, nieruchomieje – patrzą ...prawdopodobnie się dziwią, oczy mają jak błotniste kałuże; dziecko z wielką głową, przycupnięte na stercie zardzewiałego żelastwa, usiłuje czymś machać, chyba rączką, Janko odmachuje mu dłonią przez okno, a wtedy dziecko w nogi. Znowu pędzą, suną – o! – kolejka przed sklepem spożywczym długa jak bajkowy smok odprowadza ich wzrokiem.

Jechali, a zza okien wypadała woń spalin i gnijącego siana. – I nagle ich rzuciło do przodu od gwałtownego hamowania.

Janko wpółwychylił się z okna i dostrzegł: przeszkoda.

Na jezdni stoi biało-czerwona wzdęta krowa z chłopem na postronku – oboje są kompletnie pijani.

Ruch poszedł po konwoju, z czołowego samochodu sypie się obstawa, ktoś woła: „Biorą nas jak Świerczewskiego!”, chłopcy trzymają palce na cynglach, ci z pierwszego wozu wkraczają, wieśniak leci w błoto, krowa go osłania – ryczy – major milicji wypryskuje na jezdnię, gwizdże, ruga... – A spod opłotków, przy węglach lud się rozdziawia, oczy pobłyskują telewizyjnie. – Major aż się zgrzał, chrypi „precz!”, palcem wskazuje... Duo zrozumiało – znikło.

Znowu samochody sunęły nawijając wstęgę szosy. Wjechali na przedmieścia.

Na poboczach stoją klekoczące karawany ciężarówek i furmanki, woźnice odpoczywają zarzuciwszy lejce na kłonicę, droga teraz wije się wąska, wyboista – ciasno, coraz ciasniej, rozjazd, zagnojony placyk, gdzie apatyczny koń z siewnikiem skubie siwogrynszpanową trawę – potem kilka serpentyn, zwężenie, nagle rozszerzenie drogi, seria dziur, kałuż, jeszcze bajoro w poprzek jezdni...

Zatrzymali się. Kilkanaście samochodów zbiło się w korek, usiłując pokonać skrzyżowanie; poprzeczną, główną szosą ciągnie lity i nieustępliwy sznur pojazdów. Major znowu wyskoczył – teraz w czapce, z lizakiem, z gwizdkiem – wdarł się w centrum stalowej ciżby. – One buczą z prawa i z lewa, on macha, on zwija się jak fryga. – Zapluł gwizdek, daje głos gardłem... Słyszać, jak w wozie obstawy wzywają przez radio helikopter; z pól i łąk słyszać obornikiem i pleśnią.

Janko przytknął do nosa chusteczkę i rozgląda się badawczo:

Na łące obok skrzyżowania stoi grupa chłoporobotników, jedni z nabożnym szacunkiem studiują chaos na jezdni, inni spode łba świdrują co popadnie; głowy kiwają się w zadumie – pogwizdywanie, pocmokiwanie – jest ich ze dwudziestu, męscy, chwatcy – co zrobią?

Kostropaty o twarzy węgorza pakuje się w siebie ...podchodzi, podchodzi ...podszedł, jest! – o krok, o trzy, patrzy – odskoczył! – znowu: odskoczył!

Zbijają się w kupę. – Kostropaty w środku; formują krąg – Kostropaty w środku! – On szczyrzy się, strasznie białkami toczy, włosy dziwnie wykręca – bez wątpienia gra murzyństwo.

„Nno-nno...”, mruczy tow. Czynniki i z dezaprobatą kręci głową.

Ale pasja do murzyństwa tutaj mała – rozchodzą się, rozłazą, i po minucie na łące pozostaje tylko osamotniony kopista równikowej urody.

Bezruch samochodów wyzwala wilgotną duszność; Kaliban Okeke Bumba ociera twarz, po ustach ślizga mu się półuśmiech. Towarzysz Janko też się uśmiecha, podnosi kciuk do góry i coś jak gdyby mruga porozumiewawczo.

Ruszyli znowu, jadą zupełnie wolno. – Upłynęło około 300 metrów...

...wtem tow. Czynniki zazgrzytał i ogniste ciarki poleciały wszystkim w samochodzie po krzyżu. – Do okien więc – i patrzą:

Przy drodze wznoszą się ruiny przystanku autobusowego. Przed nimi nich stoi grupa – trzy panny, dwu kawalerów – ani chybi po balu. Wyższy Polak się chybcze, niższy Polak, dogłębnie rozpięty, bezpretensjonalnie olewa konwenanse.

- Dzicz! – szczeka tow. Czynniki. – Dżungla! – ale się mityguje: - Las! Po prostu las!

Na moment powłoka chmur rozrywa się i świat normalnieje.

Na krótko.

Byli już w mieście.

Po jednej stronie jezdni za koślawym betonowym krawężnikiem ciągnie się zwirowa ścieżka i porzewiałe latarnie pochylają się, każda w inną stronę. Tu tylko koślawa linia parkanów stwarza pozór ulicy, domy chowają się z tyłu, z reguły stare, mocno utrudzone, utopione w brudnej toni zieleni. Z prawej, od strony Wisły, nie ma nic, śmierdzi za to chemią i jakby śmiercią..

Nawierzchnia z kostki łomocze pod kołami, samochody rozkolebały się, minęli jakieś budy, wymarłe sklepy, porzewiałe tablice, Wisła podeszła pod drogę, jeszcze tylko po lewej nawis roślinności, po prawej ściana bez okien – i otworzyła się przed nimi pętla tramwajowa z osowiałym klasztorem w tle. Już znowu są!

Lśniący wąż samochodów zaczął wnikać w miąższ cesarsko-królewskiego miasta Kraków.

2.

– Allou... mówi Traktor...

– ...allou... naturalnie, że z Komitetu Wojewódzkiego... Co u was, towarzyszu dyrektorze? Jeszcze cicho?

Rozległe wnętrze gabinetu promieniowało gustownym autorytetem. Było tu cicho i bezpiecznie, nawet uroczonie, a lekki zapach biało-czerwonych goździków wspaniale współgrał z puszystym tabaczkowym dywanem, z miękkością pluszowych zasłon i władczym pobłyskiem palisandrowych fornirów. Jedynie wiatr – poprzez uchylone okno, gdzieś z za grubych krat – przynosił śladowy zapach niepokojącej codzienności.

Traktor lubił swój gabinet. Z rozrzewieniem ogarnął wzrokiem palmę z epoki tow. Gierka tudzież misternie rzeźbione godło państwowe, westchnął i bolesny kurcz przebiegł mu przez wargi.

– Już strajkują? Jakim prawem?! – złoto-okuty Waterman zawerblił po wmontowanej w kryształową kulę zapalnicze, a słuchawka zmieniła ucho. – Wiem!... Obecnie wszystko wolno! To już dziewiąty zakład, wszędzie strajk albo ostre pogotowie. Co radzę? Konferujcie! Odwołujcie się do czegokolwiek, to nie moja działka... Powiedzieć wam prywatnie? Drogi towarzyszu: niech sobie masy strajkują, jak wszystko już stanie, sprawę załatwimy od jednego pacnięcia... Czy pamiętacie osiemdziesiąty pierwszy? Więc nie panikujcie!... No to czołem!... I czuwaj!

Wstał, zamknął okno i przytulił twarz do szyby. Wysoki, przygarbiony, jakby już nieco obcy w tym gabinecie, patrzył na mały placyk wypełniony samochodami, na zapobiegliwie krzątające się gołębie, starając się ze wszystkich sił utrwalić w sobie spokój. – *Tyle już lat, tyle... Codzienny trud, budowanie zrębów, utrwalanie władzy, pięciolatki, dynamiczny rozwój, kryzys przejściowy, praca, ciągła praca, pół wieku gotowości i oddania... i co?* – palce mimowiednie zakręciły młynka. – *Sprawiedliwość dziejowa, niepodważalna logika dialektycznego rozwoju... uśmieć się można. Czterdzieści lat budował, i walczył... dziesiątki tysięcy zebrań, narad, kursokonferencji, zjazdy, plena, egzekutywy, noce nieprzespane, nadludzki ciężar podejmowanych decyzji, ciągła wojna: z wrogiem wewnętrznym i zewnętrznym, każdego z każdym... i wszystko ma teraz iść na rachunek czystego umiłowania mas!* – Zadzwoił znowu telefon.

– Traktor przy aparacie... Nie zwracajcie mi tego... wiecie... Od problematyki jest egzekutywa!... Zresztą mnie już od pół roku jakby nie ma!... A kto właściwie dzwoni?... Szopen?... Macie artystę w rodzinie?... Zbieżność nazwisk!?!...

– Co? Przypadek...

– Ja, widzicie, nie wierzę w przypadki; ale to wy mieliście za młodu na imię Bogumił? Skąd my to wiemy? Mamy taką nowoczesną metodykę. Nie ma się czego wstydzić, ja też w młodości zmieniłem nazwisko, wtedy człowiek wszystko był gotów poświęcić dla partii. Tak! I teraz znowu trzeba będzie poświęcić wszystko...

– Wam wesoło?... Na niskim szczeblu zawsze aparatowi najwesелей! Co mówicie? Do jakiej spółki? Bez żadnej odpowiedzialności!? A wiecie, towarzyszu Szopen, co mówili jaskółki? Więc ja się już bieżąco do niczego nie mieszam. A was żegnam, cześć pracy!

Sekretarz Traktor zmęczonym ruchem przetarł stalowobłękitne oczy, odrzucił z czoła kosmyk stalowoszarych włosów i zapalił papierosa. Zaciągnął się łapczywie.

– Pani Dziuto! – rzucił surowo do interkomu. – Dawajcie mi tu towarzysza Nogawca!

Gdy Nogawiec wszedł, pojaśniało. – *Przyszłość partii!* – cierpko pociekło po myślach Traktora. – Nie tak wyglądała młoda partyjnia kadra w latach czterdziestych czy pięćdziesiątych, to był etos i patos, a ci... wydmuszki bez ideowych kręgosłupów.

Towarzysz Nogawiec był śliczny! – owłosienie układało mu się samoczynnie w loki, czoło wypukłe jak marmurowy gzyms, brwi niby malowane, zarost kędzierzawił się delikatnie lśniącem puchem na różowej karnacji, nos jak u łani, uszy proste, kategorycznie odstawione. Odziany był w bogaty strój, nieskalana biel butów wspaniale współgrała z soczystym błękitem luźnej bluzy. – I tylko oczki miał Nogawiec jakieś malutkie, tylko brodę do ostateczności wycofaną – no, i, wargi: zbyt pełne i łakome.

– Drogi towarzyszu Nogawiec, dzień dobry! – Traktor z trudem przezwyciężał odrazę do wyglansowanego narybku. – Wezwałem was niniejszym w związku z problematyką murzyńską... Czyście poznajomieni? No ja i tak wam zrekapituluję... Otóż Murzyni...

– Rozchodzi się o odwiedziny bratnich czarnoskórych, tak? Ja już jestem zorientowany w problematyce, towarzyszu sekretarzu, to jakaś dziwna afera... - Nogawiec zamlaskał

znacząco – ...od tygodnia dzwonią i teleksują z KC – że odosobnić i pilnować. To ja się pytam, po co te cuda, prawda? Opozycja jeszcze Murzynów nie bije!

- Widzicie, towarzyszu – twarz Traktora zasępiła się i oczy zamglily nalotem troski – z tymi naszymi Czarnymi zjawia się gorsza problematyka... siadźcie bliżej... my mamy tym Murzynom zrobić taki program...

– Rozrywkowy? Nic prostszego, towarzyszu sekretarzu! – wybuchł entuzjastycznie Nogawiec. – Ukonstytuujemy im śliczny festyn w lesie, popieczemy barany, z wydziału kultury pożyczymy dziewczynki... - tu Nogawiec konfidencjonalnie przeszedł w szept – ...tylko z seksem internacjonalistycznym to ja bym radził uważać, rozumie towarzyszu, oni mogą być zbyt postępowi na męsko-damskie sprawy, na ten przykład północnym Wietnamczykom z przyczyn ideowych nie wolno tego robić. – I roześmiał się potoczyście tow. Nogawiec!

Traktor pokręcił głową:

– Wy za dużo i za głośno mówicie, Nogawiec! Centralny szkopuł u Afrykańczyków nie nachodzi na kwestię kulturalną, tylko na patrzanie... Wglądniście sobie bieżąco, co do nas piszą dyrektywy, albo ja wam teraz poczytam – tu sięgnął po leżący na biurku gruby maszynopis. – „Towarzysze muszą się dołożyć, by bratni afrykańscy goście nie widzieli niniejszym za dużo...”.

– Czyli oczy im pozaklejać? – zdumiał się dość nieszczerze Nogawiec.

Traktor się obruszył.

– Wy mnie całościowo nie pojmujecie. Zresztą dostrzegam, że stale śledzicie do góry jak jakaś jaszczurka. Nie chcecie mi patrzeć w oczy?

– Spoglądam w wasze oczy zawsze z radością, towarzyszu sekretarzu! – i Nogawiec ze szczególną mocą utkwiał w zwierzchniku swój nieprawdopodobnie niewielki narząd wzroku. – To górne patrzanie pozostało mi ze szkolnych lat, specjaliści mówią, że to musi być nawyk!

– Wy nawyki zwalczajcie! Czy ogarnęliście całokształt problematyki?

- Kwestia jest jasna, towarzyszu sekretarzu – są Murzyni, mamy ich ugościć, ale nie mają nic zobaczyć, więc trzeba ich upchać tam, gdzie nic nie widać! To się nazywa równanie bez niewiadomych!

- Znaczy – myślicie o piwnicach?!

Coś bardzo sardonicznego przeleciało przez twarz Nogawca i momentalnie znikło. Schylił głowę, oblizał malinowe jagody i przypląszczył się nieznacznie:

– Myślę, że najlepiej będzie ich gdzieś zamelinować i do ludzi, przykładowo na Wawel czy do filharmonii, puszczać tylko nocą i pod dobrym dozorem. Chyba że chcecie upubliczniać demontaż ustroju?!

- Jak wam to objaśnić Nogawiec... - zacukał się Traktor. – Z przodu niby macie rację, ale od tyłu...

- Pryncypia, nie? Ale coś im przecież trzeba tutaj w Polsce pokazać!

- Posłuchajcie, Nogawiec... Znamy wasze, mimo młodego stażu, zasługi dla socjalizmu, znamy oddanie dla sprawy i uczciwość bez końca... Ja znam zresztą także wasze inne sprawy... Tak! – głos Traktora powiał piwnicznym chłodem. – Ale o tym jeszcze nie czas! Więc biorąc pod uwagę całokształt, bardzo z naciśnięciem nakłaniam na wyrażenie konstruktywnej opinii: – Czy wy w onej kwestii weźmiecie całościową odpowiedzialność? A po drugie: gdzie bratnich Murzynów wsadzić, żeby bardzo mało widzieli?

Nogawiec utkwiał płonący wzrok w godle państwowym i zadumał się, a wielki wysiłek umysłowy przyozdobił mu twarz nadnaturalną pięknnością. Minuty mijały – i nic!

Gdy wreszcie milczenie stało się nie do zniesienia, sekretarz Traktor wstał, wyjął i nalał. Wypili. Traktor zagaił:

– Wy się chyba nie boicie mówić? Ze mną jesteście tu jakby pod tajemnicą spowiedzi i bać się nie ma czego, bo wam nic nie rzucę pod nogi ani nie zwałę na bark. Sam dużo myślałem, od kilku dni właściwie nic nie robię, tylko myślę, ale wymyśliłem niedużo: ot, można by kopalnię soli wypożyczyć... albo na ten przykład zawieźć ich na pustynię...

– Mam! Złapałem! – Nogawiec z płaskiem trzasnął się w czoło i zerwał na równe nogi.

– Co? – zafrasował się Traktor.

– Myśli!... Posłuchajcie! Najlepsza będzie Pieskowa Skała – na uboczu, a luksusów dla Czarnych starczy.

Traktor wwiercił wzrok badawczo w podwładnego i pokręcił głową we wszystkich możliwych kierunkach:

– Tak, ale... Wy wiecie, Nogawiec, że sprawa niesie? Że za sprawą kroczy? Zresztą, co ja wam będę wykladał... - mówił teraz jak doświadczony konspirator, całkiem do wewnątrz – ...nasi czarni, postępowi bracia mieli zwiedzać nasz region i zamieszkać na Wawelu, a wy im dajecie jakieś Psie Skały... Jak to będzie widać w publikatorach... My, czyli ja, przy tej ewentualności możemy się na amen pokopyrtać. I to jest duże ryzyko! Rozumiecie?

Znienacka złodowaciał.

– Bo taka krzyżówka mi się teraz głowie układa, że wy na tym moim ślizganiu możecie zyskać. Czy wy przypuszczalnie chcecie, że tak powołam się na porzekadło, robić zwierzchnikowi z tyłu za niedźwiedzią obsługę, co?

Przez mgnienie spoczęło na Traktorze spojrzenie bardzo zimne i zupełnie z góry, ale natychmiast wyraz Nogawcowych oczu powrócił do normy.

Ach! Nie! Nigdy! Och! Za żadne skarby! Wykluczone! – posypało się z Nogawca potoczyście. – Ja miałbym towarzysza sekretarza zawieść?!

- Zależy gdzie, Nogawiec! – obruszył się Traktor.

- Mówię: że gdybym miał być niesprawny...

- To dużo lepiej, Nogawiec. Lepiej jest bez dwuznaczności! Więc?

Nogawiec aż się zachłysnął oddaniem:

– Ja wolałbym sobie rękę... co tam ręka... – nogę sobie oberzną dla drogiego sekretarza!

– Zróbcie sobie spokój, towarzyszu, nikt od was uszczerbków ciała nie żąda, noga to rzecz święta!

– Towarzysz wolałby rękę?

– Zejdźcie z żartów, Nogawiec, tu nie karuzela! Ja zadałem pytanie, wy mi dajecie odpowiedź. Na tym leży dyscyplina!

– W sprawie ryzyka? – Będzie znikome!

– Jakie?

– Malutkie! Bo przepatrzcie, sekretarzu, zagadnienie po liczbach: Raz – Murzyni; wiadomo – ciemni. Nadzorujący z ramienia Warszawy towarzysze sami będą woleli spędzać czas bezpiecznie – i to będzie dwa; trzy – jak ci zmilczą, reszta centralnych też będzie siedzieć cicho; natomiast za cztery znajduje się takie prawidło, że gdy góra się nie wypowiada, to dół nie puści pary. Zatem całokształt gra! Akceptujemy?

– Kiedy przywiozą tych Afrykańczyków? Wy wiecie?

– Za dwa dni,

– Czy będziecie zdolni, Nogawiec, podołać?

– To zależy.

– Niech wam zależy!

– Pozwolę sobie, towarzyszu sekretarzu napomknąć...

– Wy nie jesteście od napomykania! Na co chcecie sobie pozwalać?

– W porządku, już na nic. Czekam na waszą decyzję?

– Czego?

Czerwone iskierki zabłyszczały w Nogawcowych oczkach:

– Akceptacji!

– Co mam akceptować?

– Propozycję!

– Czyją?

– Moją.

– Bardzo dobrze! Dajcie się skupić.

Podparł głowę tow. Traktor, gorzko skrzywił spracowane usta, oczy wywrócił całkiem do wnętrza, na czole wyźłobił piętno zadumy, wszystko wyłącznie dla porządku, niech Nogawiec widzi, jak zwierzchnik się boryka, i szepce: „ciężko, bardzo nielekkko, brać na barki,

o! decyzja, odpowiedzialność!” – a w myślach mu kpi: „ Jak ja lubię kino!” – wreszcie wzrok odwrócił z powrotem do przodu, czoło przejaśnił i mówi:

– Nogawiec, niech się dzieje... Róbcie to! Daję wam upoważnienie!

– Na piśmie?

– Żartujecie?

– A zatem jest to ustne polecenie?

– Wyłącznie ustne. No, ja teraz żegnam i wam dobrze życzę... Aha, pamiętajcie, trzeba będzie afrykańskim gościom wstawić palmy do pokojów, wszystkim.

3.

Gdy reprezentanci ludowej Republiki Wschodniego Chaju lądowali byli na krakowskim lotnisku, ogólnopaństwowa sytuacja, szczególnie po względem praworządności i przestrzegania norm socjalistycznego ładu, dojrzewała do stadium kompromitującego. Przestępcy polityczni, ekstremiści, reneraci, osoby bez stałego zatrudnienia, margines, wrogowie postępu, wichrzyciele, rewizjoniści, kontrrewolucjoniści, zwykłe karły reakcji, sabotażyści, sługusi, wywrotowcy, ludzie chodzący po pasku – słowem: wiadome siły mąciły w najlepsze. Ten niesmaczny stan rzeczy publicznej był następstwem politycznego błędu, bowiem organa władzy państwowej skupione na rozgryzaniu problematyki pluralizmu popuściły cugli – gdzieniegdzie je nawet z rąk wypuściły – co rozpętało między Odrą i Bugiem polityczne rozpasanie, w którym wymienione wyuzdane siły mogły się bez reszty oddawać knuciu, inspirowaniu, staniu za, godzeniu w, jątrzeniu, łowieniu w brudnej wodzie, demobilizowaniu, destabilizowaniu, rozkładaniu, pluciu, szczuciu, sprzeniewierzeniu, deptaniu, podkopywaniu, podminowywaniu, wpełzaniu, demontowaniu – wszystkiego nadającego się jeszcze do zniweczenia.

4.

Byli już w miąszu miasta.

Zmotoryzowany orszak sunie z szumem, z lewej strony szereg zabudowań jest teraz kompletny, kamienice wspierają się wzajem i tkwią dość prosto, domy są tu dość melodramatyczne, jedne brutalnie gwałcone przez czas starają się ukryć za wąskimi zaroślami byłych ogródków, inne, o urodzie suchotnika, ostatkiem sił prężą pogruchotane loggie, pokruszone wykusze i konające krużganki. Po prawej zgliwiałe kamieniczki chwieją się w osamotnieniu, a między nimi pstrokaci się monsturalny chaos byle czego. Wśród tych dekoracji z taniego filmu i pod usychającymi drzewami widać szarych od życia ludzi. Niektórzy delektują się skąpymi łykami piwa lub płynu do mycia okien. Kawalkada kluczy. Samochody z trudem przeciskają się przez cieśnie zaułków, opony piszczą, przechodnie w bryzgach błota uskakują pod ściany, rzeczywistość z wolna porządnieje, pojawiają się wypielęgowane ogródki, przystrzyżone trawniki, zaczyna pachnieć Europą, wreszcie w oddali zarysowuje się lita zabudowa z wpasowanymi w nią dziesiątkami zielonkawych grzbietów kościelnych.

Czołowy wóz milicyjny włącza sygnał, niebieskie światło jest aroganckie, syrena wyje; minęli przycupnięty hotel, wpadają w szeroką aleję, potem most, ostry zakręt, rzut oka na dystansujący się od otoczenia Wawel, drugi ostry zakręt i – kończy się strefa miejsko-wiejska i zaczyna miasto.

Tak to trwało.

A tow. Janko?

Pożerając przestrzeń dumał o najbliższej przyszłości.

A było o czym!

Osobiste plany tow. Janko różniły się od oficjalnego harmonogramu bratniej wizyty w Krakowie. Tak się złożyło, że w nadchodzących dniach przypadała dwudziesta rocznica ukończenia przez towarzysza Janko, oczywiście z wynikiem celującym i w trybie eksternistycznym, średniego szczebla nauczania. Z tej okazji grupa współabiturientów – wszystko osoby godne społecznego zaufania – postanowiła zorganizować skromną

wieczornicę. Rzeczono spotkanie miało się odbyć właśnie na terenie miasta Kraków, tutaj bowiem, w prastarym grodzie Kraka, w czasach trudnej acz błyskotliwej młodości Janko był uprzejmy studiować. – Termin? Dzień pobytu pierwszy, godzina wczesna wieczorna.

Władze zwierzchnie, po zapoznaniu się z motywacją, udzieliły Janko krótkoterminowego zwolnienia z funkcji współgospodarza, jednakowoż pod warunkiem, że dołączy on do grupy następnego dnia o poranku i do końca brać będzie czynny udział w wypełnianiu treści harmonogramu bratniej wizyty.

Tak przedstawiała się pierwsza problematyka zaprzatająca bieżąco umysł tow. Janko. Na drugie szedł redaktor Niusio.

Otóż ten nader odpowiedzialny obywatel kierował kompleksem spraw związanych z organizacją wieczornicy. Ponieważ tow. Janko – z natury nieco nieufny – chciał osobiście sprawdzić stan przygotowań do imprezy, zatem redaktorowi wyznaczono spotkanie o godzinie pierwszej, a o pierwszej trzydzieści mieli wspólnie dokonać oględzin miejsca planowanej fety. – W bycie tkwi jednak coś takiego, że życzenia nie dość chętnie wykonują nakreślony plan spełniania.

5.

Spotkanie z redaktorem Niusio będzie miało miejsce o godzinie trzynastej w restauracji Wierzynek.

Przesiadł się zatem Janko do jednego z radiowozów eskorty i prawie lecą...

...gnają wciąż nieodmiennie szybko: miasto miga.

Tow. Janko odświeża sobie pamięć ulic; patrzy przez okno pilnie i zapamiętuje skrzątnie. Taki już jest. Widzi, że gdzie spojrzy, coś się chyli ku ruinie, całe podzespoły są w stadium rozkurzu, rozpada się już nawet architektura z epoki gomułkowskiej!. – Widzi!

Na Alejach Trzech Wieszców wyprzedza ich sunący zawadiacko konwój wozów bojowych ZOMO. Chłopcy są dorodni i rumiani, promiennie uśmiechają się zza okratowanych okienek; tow. Janko wychyla się i macha dłonią, ale zaraz stopuje, bo jadący w ostatnim wozie oficer uchyla drzwiczki i grozi mu pałką.

Siedzący obok kierowcy zupełnie siny sierżant mówi:

– Nie przejmujcie się, towarzyszu, oni przed akcją zupełnie nie odróżniają swoich od obcych.

A centkowany na twarzy kierowca dodaje:

– Ho, ho... setne zuchy! Znów lecą gdzieś kogoś prać.

Mówią, a ich surowe, pryncypialne oczy zasnuwają się rozmarzeniem.

Wyhamowali koło Mickiewicza, a biła właśnie pierwsza.

6.

Redaktora Niusio jeszcze nie było, więc tow. Janko zainstalował się czasowo w barze na parterze. Zamówił koniak, wypił i zrobiło mu się upalnie. Chcąc uzasadnić zwłokę w zapłacie, zamówił drugi.

W barze było pustawo, tylko w kącie chuda profesjonalistka założywszy nogę na nogę demonstrowała, a przy szynkwasiu dziwna twarz, kiwając się na boki, dłużyła zapałką w zębach. Tow. Janko skoncentrował na twarzy swoje magnetyczne spojrzenie, ona zaś zareagowała momentalnie – skurczyła się, pomarszczyła, wydatna żuchwa poleciała do przodu, oczy wyskoczyły jak na szypułkach, rysy rozdarła ekstaza; w międzyczasie właściciel dziwnego lica spadł z krzesła, z wysiłkiem chwycił pion, potem uklonił się - ... i jeszcze ...i jeszcze... ...i idzie, ręce wyciągając przed siebie – zaraz dojdzie, aby ścisnąć...

Jednoznaczny ruch wyciągniętej na płask dłoni tow. Janko osadził człowieka z twarzą jak przyspawanego. W tym właśnie momencie dotarł do baru publicysta Niusio.

Redaktor Niusio nie był aż tak przystojny, jak większość publicystów, ale jego uroda dawała wiele do myślenia. Wzrostu mniej niż średniego, walcowaty, z wieżowatą czaszką, z twarzą pokrytą ospką krost, z frędzlastymi uszami, oczami jaszczurki, z żabim wykrojem ust i bez brwi, z zarostem wyłącznie na karku, ubrany w jasny garnitur i jaskrawoczerwony krawat, ten człowiek uderzająco zastanawiał. – Podbiegł do Janko na końcach palców i dalejże: ...kłaniać się, ścielić, szczebiotać, ciepłymi słówkami po sercu głaskać, umając i komplementować, w oczy zaglądać i pod ręce ujmować – jak to zazwyczaj dziennikarze. Tow. Janko tego nie lubił, więc z miejsca – ostro i z góry – redaktora osadził! Zwilgotniały z żalu oczy publicysty, więc Janko złagodniał i podmiot niemej reprimendy po pyskach poklepał. Dziennikarz z miejsca wpadł w ekstazę, prężąc się jak kot, a potem się żurnalistyczne ciało spazmatycznie rozmerdało od stóp do głów we wdzięcznym porywie.

Podeszli do barowej lady.

Redaktor przycupnął na brzeżku barowego stołka – ręce w ciup, – i cichym głosem relacjonuje stan przygotowań do koleżeńskiej wieczornicy:

– My tak, ramię w ramię... Zaszczyconym się czuję niecodziennie! No, ale pewne komplikacje – jak by to wyrzec? – no, względy ekonomiczne, i ta sytuacja kryzysowa, wszystko to przeważało, tak, zaciążyło... bo wy mnie znacie!... nigdy przeciw woli... ale mus był podjąć decyzję, czyli trzeba było na własną ręką... ale boję się, ja się lękam wypowiedzieć...

no, bo biorąc pod wzgląd obszerność miejsca... ono ujawni swoją doskonałość... żadnej ciasnoty, przestrzeń ogromna... szkoda, że wcześniej nie mogłem, nie uzdolniony byłem uprzedzić... - i tak dalej opłotkami płacze.

- O czym wy? Redaktorze? – tow. Janko wytrzeszczył się zupełnie zdezorientowany. – Wy coś kręcicie?!

- No, w pewnym sensie... zakładając... bo widzicie, jest decyzja... z ostatniej chwili...
- Niusio raz zdecydowawszy się naprostować ścieżki jechał już gładko: - Nasz rocznicowy raut odbędzie się w gmachu operetki. Ale ja się biję, biję się i biję... Myślenie mnie chwilami niweluje! Więc...? Czy tak można? Czy to uchodzi?!

Znienacka Janko rozchmurzył się zupełnie:

- Po co wy się bijecie z koncepcją, redaktorze? Ona jest ładna! Ja lubię operetkę!

Publicyście wyraźnie coś spadło z serca, ale dla porządku miał pod ręką pakiet wątpliwości:

- Wszelako ludzie? I masy ludowe? Dla umysłów prostych koncepcja może być miejscami nieco szokująca!

Tow. Janko uśmiechnął się dobrodusznie.

- Powiedzą, że to w sam raz dla takich, jak my... I dobrze! Teraz jest okres jawności!
- tu rozkiwał się głową na wszystkie strony i kiwał się tak, kiwał, aż wpadła mu niechcący w oko tajemnicza sygnalizacja docierająca z sąsiedztwa: otóż obserwowany uprzednio człowiek z twarzą podnosił to jedną, to drugą rękę i mrugał – też naprzemiennie – oczami.

- Czego ten on? – buchnął półgłosem tow. Janko. – Czego ten on wyprawia? Chory?

Redaktor obejrzał się za siebie i lekko spotniał:

- Gdzieżby ktoś śmiał! To zdrowy człowiek! I zupełnie nasz! On tak mruga z natężenia napięcia! Towarzysz już był uprzejmy poznać go w przeszłości... Ja napotykam go częstokroć! Również dziś umówiłem się z nim tu spotkać. On się nazywa inżynier Desert i komponowuje szatę uliczną. Nie gniewajcie się na niego, towarzyszu. On nie winien. Ma duszę artysty, więc się na wasz widok, towarzyszu Janko, zupełnie uniósł i podniecił. Notabene, pragnę nadmienić,

że towarzysz Desert włączył się aktywnie w wykonanie wystroju plastycznego naszej koleżeńskiej imprezy. Zaprojektował! Kawał! Kawał dobrej roboty!

Tow. Janko przymknął oczy i zadumał się – po chwili spytał:

– Czy to ten sam, co nam, wiecie, taką grubą rybę z ogonem i mieczem w Warszawie zrobił? Jakby inaczej wygląda!?

- Mogę was uroczyście zapewnić, towarzyszu, że inny. Ten wstawia, a tamten raczej rzeźbi, chociaż też wstawia. Więc ja mu, tutaj obecnemu, artyście napomknąłem onegdaj: „Wy przyjdźcie, kolego, wtedy a wtedy i pokażcie się od najlepszej strony; talent macie od lat olbrzymi, więc może towarzysz Janko znajdzie dla was jakieś rządowe zlecenie na poziomie.” I jeszcze mu dokomunikowałem: „Możecie mi wierzyć lub nie, ale towarzysz Janko to jest cudowny człowiek, który zna się na sztuce i artystach, i on nigdy nie zapomina o artystach oddanych sprawie postępu.”

Tow. Janko – niby zagniewany, ale oko błyska jak u karpia – mówi:

– No, no... Wy dziennikarze zawsze na prawo i lewo publikujecie. Zobaczymy, może kiedyś... A pamięć u mnie, rzeczywiście, nadnaturalnie dobra... Wszelako nawróćmy się, bo czas się dekapitalizuje. Jak z tymi przygotowaniami jest?

Redaktor Niusio zdał raport nader szczegółowy, a kończąc spytał:

– Cóż zatem jeszcze?

- Jeszcze będziemy lustrować! – zakonkludował tow. Janko zsuwając się z barowego stołka. – I bądźcie, towarzyszu redaktorze, uprzejmi zapłacić, bo ja nigdy nie dysponuję środkami płatniczymi.

7.

Znowu drgnęła motorynka akcji. Jechali!

Samochód był publicysty – bardzo zachodnioeuropejski. Dotrwali w ruchu ciągłym aż do Dworca Głównego, tam wessał ich monstrualny korek.

Publicysta się zżyma, daje upust przez okno, surowo przywołany do porządku przez Janko cichnie i przechodzi na ogryzanie paznokci.

Stali i stali!

Sygnalizacja nie działała, dwa tramwaje blokowały się wzajem, w to wszystko wbiła się karetka pogotowia. Po dwudziestu pięciu minutach ruszyli, minęli bardzo brudny mur, kilka wyboi, imitację parku, kolejkę przed sklepem spożywczym, kogoś idącego na czworakach, przecięli rozkopane torowisko i wyhamowali na placyku przed przybytkiem podkasania.

Personel czekał w foyer – ślimakowaty dwuszereg w bieli. – Szef gastronomii złożył treściwy meldunek:

– Już są: galantyny ugarniowane, auszpiki skrzepłe, buliony tęgie, drób skruszały, sosy zaciągnięte, ryby w galarecie, kury w papilotach, rury w barszczu, farsz w pierogach, bażanty posadzone na grzankach, sałaty dosmaczone, torty naponczowane, trunki schłodzone...

...jeszcze się: golonki warzą, blanszują szparagi, duszą cynadry, wysadzają zalewy, wrze bigos, miękną flaki, poza tym układają się – chrzanik, ćwikiełka, ogóreczki, śledziki, łososik, kapustka; kawior, szyneczki, kiełbaski, sztufady, rolady – pasztety już siedzą na półmiskach.

A potem wynikła ta niemiła sprawa:

Tow. Janko pochwalił był uprzednio wszystko: mównicę przybraną w barwy krwiste, słupek owiniętą aluminiową folią i zwieńczony dzbanem, trzy czerwone brodate głowy na bordowym tle, karmazynowo nakryty stół i skryte za półprzeźroczystą kotarą podium dla orkiestry. Pobył był wszędzie. – Poprawił detale po gospodarsku. - Już się był żegnał...

...gdy nagle jak mu powrozy żył nie wyskoczą na czoło, jak rąk nie załamie...

– Gdzie?!

I powtarza lodowato:

– Gdzie ono jest?!

– Co?... Jak?... Jakiego ono gdzieś tu nie ma? – zaszemrał ogół.

Brak zrozumienia prawie że towarzysza Janko udławił.

– Godło! – powiedział zupełnie lodowato. – Nie znacie państwowego godła?! – i uniósł jednoznacznie oba ramiona... – Ptak! – a potem uniósł też głos: - Wieszać!!!

Rzucili się milicjanci z ochrony; jeden sznur niesie, drugi drabinę, trzeci pętlę skręca. Wyraźnie biorą się za redaktora...

Fuknął na nich tow. Janko. Oni zawiedzeni, coś tam sobie pogadują, spluwają. Niusio profilaktycznie się usuwa w cień.

Gdy ptaka bez nakrycia głowy umieszczono gdzie należy, red. Niusio podrzucił myśl:

– Pod godło potrzebne jest hasło. Szanowny towarzysz Janko z pewnością podda...

- Hasło?... – Janko zatrzepotał rżęsami i spąsowiał. – Cóż, nie jestem literatem, towarzysze... Wszelako skoro naciskacie... Więc dajcie tam po prostu: „Krzewmy się!” To tak ładnie i węzłowato brzmi.

8.

Wy znowu będziecie jeździć, tow. Janko? – pomyślał tow. Janko opuszczając gmach operetki. – *Wy się w ten sposób wykończycie! Wy skończcie z tym, ja wam mówię! Trzeba chodzić! Prezydent amerykański chodzi, cały świat chodzi, nawet Eskimosi latają za psami, a wy co? Nic tylko jazda i jazda! Wy powinniście się nauczyć chodzić. Chodzenie ma przyszłość!* – Ocknął się w tym miejscu myśli, bo go redaktor Niusio, za rękaw szarpiąc, namolnie do czegoś nakłaniał. Z miejsca zareplikował:

– *Że co? Że jadę...? Nigdzie nie pojedę! Będę chodził!*

Redaktora aż zatchnęło ze zdziwienia. Zdołał wydusić:

– Sam?!

– A sam!... Trafić, gdzie należy, zdolny jestem, a nadzoru mi nie trzeba! Wy się tu, redaktorze, lokalnie kręćcie, jasna sprawa, i dopinajcie, a ja, ot tak sobie... pójdę! A może się wam ta idea nie podoba? – I poszedł.

Droga czekała tow. Janko długa – tak około kwadransa – ale, raz się zawziąwszy i zdecydowawszy, szedł i cieszył się ze spaceru jak dziecko. Od lat już nie chodził. Wiadomo, natłok obowiązków! Teraz więc poszedł na całość – posuwając się do przodu śliskim krokiem kadrowego rewolucjonisty badał byt i studiował otoczenie.

Początkowo przemierzał ulice nieruchliwe. Ludzie występowali tu rzadko – przeważnie kobiety w wieku poprodukcyjnym, alkoholicy i przedszkolna młodzież – więc czuł się na duchu rześko i lekko; potem była ulica Kopernika i sami hospitalizowani; od Blichu zaczęli pojawiać się kolejarze i zrobiło się nieco gorzej. Początkowo krzepił się unikaniem wzroku ludzkiego i powtarzaniem w myśli porzekadła: „Nie takie masy straszne, jak je towarzysze malują” – ale wystarczyło to tylko do Grzegórzeckiej. Tu atmosfera duchowa stała się całkiem zła.

Z jednej strony – wszystko jak było: idzie, jest rozkosznie, gołębie podrywają się spod nóg, słonko pieści kark, ciało jest lekkie, sprężyste, nogi niosą po prostu same...

...ale z drugiej strony – ścisk tysięcy oczu i ten spocony tłum: siły niewykwalifikowane, zakurzone kobiety, wymięci mężczyźni, transportowcy i sklepowe, biuraliści i biuralistki, sprzątaczk i asenizatorzy, spawacze i frezerzy, tynkarze i wodkaniarze, jakieś indywidua

rodem ze smarowozowi, gromady niewątpliwych rolników i rolniczek... i to wszystko napiera, przewleka tow. Janko przez swoje nieświeże wnętrze, taranuje miriadami obmacujących spojrzeń...

Zaczął pękać!

Pojmując, że maleje i znika – zaiste upiornie! – skoczył pod wiadukt kolejowy i skrył się za nieczynnym kioskiem. ...A serce młotkuje puk-puk, język jak wiór, nogi w rezonansie, w głowie miazga...

Przyłożył twarz do zakurzonej szyby i zadumał się: - *Telefonować?... Ale jak się dzwoni z budki? Wejść do pierwszego z brzegu urzędu?... Co tam powie...? Ale, ale! Sq, Sq!* – prawie że wykrzyknął - *...w mundurach, dwaj, nic nie szkodzi, że mundury inne, ważne, że państwowi!... Hurra! Nasi idą, kolejarze albo strażacy!*

– Pozwólcie towarzysze! Pozwólcie towarzysze tu ...!

Podeszli, nad wyraz niechętnie, wyższy był zezowaty i miał wąsik, niższy patrzył prosto i dłuwał w zębach.

Prostolinijny okazał się elokwentny:

– Czego? – spytał sucho.

– Zostaw go! – dorzucił zezowaty.

Tow. Janko z trudem oderwał się od zbawczej budki i wyciągnął z kieszeni pierwszą lepszą legitymację. Głos mu się trząsał:

– Widzicie, ja zasłałem, towarzysze...

A wąsikowiec do badawczego w zębach:

– Będziesz go bił?

– Stul pysk, Władysławie! Poczytamy...

Czytają: niesporo im idzie. A tow. Janko:

– Podprowadźcie dobrzy obywatele do komisariatu, tam się mną zaopiekują.

– O! poseł! – przywaha niższy mundurowiec, studiując legitymację. – Pisz: poseł i na sejm. Ale nie pisze na jaki!

– Sejm jest zawsze walny. Tak ludzie mówią! – popisał się zaniedbany wzrokowo, muskając wąsik.

– Weźcie koledzy pod ręce i prowadźcie na komisariat! – kontynuuje tow. Janko z uporem, ale równocześnie odczuwa, że już mu lepiej, że przestał się rozpuszczać.

– Musi być jakiś partyjniak... one się tak wołają, jak na nas krzyczał! – niższy kolejarz lub strażak kręci głową z dezaprobatą. – Idziemy?

– Lecimy, pędzimy! – rzuca optymistycznie wyższy i zezuje wirtuozeryjnie.

Wbrew zapewnieniu, duet odpływał bardzo wolno i jeszcze długo do uszu tow. Janko dochodziły – człapanie rozdeptanych buciorów i zdrowy proletariacki śmiech.

9.

Po tym pierwszym bliskim kontakcie międzyludzkim tow. Janko zastygł koło budki oniemiały i osłupiały. – Po prostu tkwił! I trwało to dobre dziesięć minut. – W następstwie rozrzedzania się w masach serce chodziło mu nierówno, język skołowaciał i po głowie, tej twardej i par excellence postępowej głowie, biegało w kółko wielkie ideologiczne znużenie. Wszelako w jedenastej minucie otrząsnął się, przemógł słabość i ruszył w drogę. – Teraz ostrożny, patrzący wyłącznie pod nogi, czujny jak czerwonoskóry na wojennej ścieżce.

Los wkrótce wynagrodził determinację i skrył tow. Janko w tunelu zielonego bezludzia, w cienistej alei biegnącej wzdłuż torów tramwajowych.

Niebieskie, żelazne wozy dudniąc przebiegają obok, oczy gołębi spoglądają z szacunkiem, całe zło z wolna odpryskuje od duszy i ucieka, idzie Janko pomału, pozwala już sobie podnosić głowę, raz nawet spogląda jakiemuś listonoszowi w oczy, jedynie na widok większej grupy przystaje, zakrywa twarz i pyta sam siebie: - *Czy którykolwiek towarzysz sprostałby?* – To go krzepi; zresztą, jest już blisko celu, rozpoznaje okolicę, zaraz skręci z pasa zieleni w lewo, potem przez jezdnię i zanurzy się w podcieniach, gdzie stanie się mało widoczny. Ludzi co prawda przybywa, lecz znosi to lepiej i lepiej, jeszcze kilkaset metrów, jeszcze kilkadziesiąt ...i zupełnie samodzielnie dotrze.

Skusił los!

Z odrapanych kamienic, z wąskich zaułków zaczęła w niego bić szara codzienność. Ciało odpowiedziało na te uderzenia swędzeniem, uszy z napuchły, perystaltyka jelit przyspieszyła się w sposób nieznośny – tak! alergią! Na rogu ulicy rabina Meiselsa świąd skóry stał się nie do zniesienia; czuł, że musi się gdzieś skryć i albo podrapać, wtedy zupełnie mimochodem jego wzrok zawisł na skrytej pod arkadami wywieszce „Cafe”.

Raz zawieszony, uczeplił się jej ze wszystkich sił.

Tow. Janko nigdy w kawiarni nie był, a jeżeli nawet, to w przebraniu i w młodości; jego życie wypełniały wyłącznie kantyny, stołówki, bary poselskie i inne wydzielone instytucje karmienia, nic dziwnego, że się powahał, nim podjął decyzję – ale rutyna jego stale rosła, więc się przełamał i pchnął, co trzeba.

Kawiarnia była raczej podła. Gdy usiłował domknąć spaczony drzwi, mrowie oczu podniosło się od stolików. Znowu się zaczął zatracać, ale tylko na moment, skupił wolę,

odzyskał balans i trzasnąwszy nonszalancko drzwiami, podążył ciężkim – mającym pozorować wieloletnie doświadczenie – krokiem ku ladzie. Tu przydarzyło się tow. Janko coś, co wielu mężczyznom zdarza się od czasu do czasu, ale na niego spadło po raz pierwszy. Gdy podniósł oczy, to go замуrowało! – Kobieta barmanka była tak pociągająca, że aż... śliczna!

Ona stała! – Duża bruneta, włosy gdzieś tam posrebrzone, wargi pełne, oczy ogromne, zupełnie jak tamte... z tropików... i uszka... – Cielista szyja wpadała rzeką przydymionego mleka w rozpięcie koronkowej bluzki, niżej zaś świeciło przez materię, tak, ciało! – tak! – stanik! – dalej była lada i już teraz nic więcej... - Och! Ona stała i śmiała się całokształtem niekłamanej piękności.

- Proszę, co podać? – tchnęła.

O, jakże owo krótkie „proszę” naelektryzowało towarzysza Janko, ach,! – *Jaka dojrzała duża kobieta, towarzyszu... jak się promiennie uśmiecha, czy to do was się kobieta uśmiecha? Czy widzieliście kiedyś taką wspaniałą, ciepłą, pełną, uśmiechniętą, cudowną, mięciutką, serdeczną, niepowtarzalną obywatelkę... Obywatelkę? Nie! To jest chyba pani kobieta... O co ona was prosi, oh, gdyby was chciała zaprosić do wzięcia jej po prostu za rękę, też by wystarczyło... Ojej, gdzie wy mieliście dotąd oczy, towarzyszu, gdzie...?*

– Co podać? Kawę?

Gdyby można tak samym wytężeniem woli wyjść z siebie i rzucić: siebie! Mi siebie proszę podać... na wynos!... to byłoby niechybnie cudowne, towarzyszu, brać taką dużą ciepłą kobietę za rękę i chodzić z nią wszędzie; czy są jeszcze na świecie fotoplastykony? Albo zakupić akwarium; jakie piękne jest światło przechodzące przez akwarium, siedzieć z taką piękną kobietą przed akwarium i patrzeć jej w oczy, a oczy będą zielone, bo akwarium musi się w nich odbijać, i będą pływały w zielonych oczach złote rybki, mnóstwo ich! Ach, tow. Janko, gdzie wy mieliście dotąd te oczy – oczy zielone?

– Parzoną czy z ekspresu?

...ona wam mówi „parzoną”, jakie to dziwnie podniecające i ciepłutkie, nikt nigdy do was tak nie mówił, towarzyszu, zawsze tylko: tak jest, towarzyszu! jedenasta trzydzieści pięć, proszę zabrać głos na plenum, towarzyszu! z taką ciemnowłosą dużą kobietą musi być słodko i życie prywatne układa się bez wątpienia harmonijnie, komponujecie jej kobierce z najbardziej pachnących kwiatów, toną stopy i lydki pokryte ciemnym meszkiem, biegnie, biegnie, wy

biegniecie... o! gnacie pozbawieni wierzchniego stroju po tych kwiecistych ugorach... jej wiatr rozwiewa czerwony peniuar, wy bez żadnych przeszkód zawodowych... jednak lepiej chyba byłoby coś włożyć na siebie? – i leżycie sobie w kwiatuśkach, wtedy robią się dzieci, takie malutkie płowowłose małeństwa, które też można gładzić dłonią po główkach, jakie to śliczne, dwa, trzy, cztery, pięć, och! czemu nie można wyteżeniem woli...?

- Ja!?... Parzoną!

- Czarną czy ze śmietanką?

... uśmiecha się malutka gwiazdka z nieba, a to przecież, towarzyszu, duża bardzo kobieta, całkiem rozwinięta i ukształtowana, przed chwilą było widać biodra jak instrument smyczkowy... ach! Taki skrzypek przyciska sobie instrumencik do policzka, cygańskie nutki płaczą, smyczek sunie i sunie, wy poprzyciskalibyście, co?... ja wam mówię, nie ma podobnej drugiej na świecie!... chociaż na ten przykład Liza Taylor z tym łysym cesarzem, jak oni się kochali!... jeździli sobie łódką, a potem ten wąż... patrzcie, towarzyszu! wraca, z przodu i z tyłu jest śliczna, jaki ma brzuszek, jak cudnie się kolebie! kto wie co ona nosi pod...? z tym jest różnie, towarzyszki powinny się nosić wszędzie na czerwono, ale kłamią i kłamią, założy taka nogę na nogę i widać!: biało, czarno, niebiesko, zielono, popielato, kawowo, żółto... ale moja malutka gwiazdeczka ma pewno przepisowe czerwone majtusię, oj!oj!oj!, brzydki myślicie, fe!... to los was tu chyba przyprowadził, wiatr historii przywiał... gdzie też były uprzednio wasze oczy?... ach, gdzie?!

– No, oczywiście, czarną.

Kawa wjechała na blat wybrzuszona czapeczką fusów, smukła dłoń o błękitnych paznokciach podsunęła kubeczek z cukrem, on zaś, jak motyl do entomologa, przyszpilał się do Pięknej Czarnej coraz mocniej. Cukru odmówił, sam nie wiedząc czemu, głową odmówił, kręcenie odmowne zaraz mu się zwichrowało i przeszło w potakiwania, więc zaczęła mu słodzić i przy tym dosładzaniu czwórka oczu spotkała się w komplecie, rzuciły się wzajem w siebie jak w studnie – on potakiwał, ona słodziła – i tak aż do brzegu szklanki...

- Och, będzie za słodko! – zareagowała.

- Nigdy już nie będzie! – odreagował jej.

Uśmiechnęła się. Serce tow. Janko zakwitło. Powiedziała: - Tysiąc pięćset osiemdziesiąt siedem!

Jakież one kobiety posiadają słowiczy ton!... Nie z tych małych piszczących słowiczków, ma się rozumieć, ale z raczej dużych – altowych... Takim głosem można się laskotać w plecy!... Rzeka szemrałaby, słońko przygrzewałoby, wy leżelibyście, na boku, na kocu, na pełnym zluźnieniu, wiatru nie byłoby, ale górą byłby, przepędzałby brzuchate obłoki, a alt jej głosu laskotałby jak najdelikatniejsza pajęczynka... byłyby łopiany – dużo! – i woda! Woda letnio-ciepła! – Potem rozbieralibyście się razem, słońko już zachodziłoby, przykrywalibyście co należy łopianami, poszlibyście, pobrodzilibyście, opryskiwalibyście się wodą, w końcu kąpalibyście się cali, nadeszłaby noc, gwiazdy wzeszłyby, księżyc wzeszedłby, potem znów słońce... i tak aż do zimy!... Och! Zastanówcie się, towarzyszu, gdzie mieliście oczy...

- Tysiąc pięćset osiemdziesiąt siedem! – powtórzyła ona z gniewnym naciskiem, ale oczy błyszczały jej tak, jak gdyby w oddali dostrzegała duży kawał piękna.

– Co znaczy „tysiąc pięćset osiemdziesiąt siedem”? – towarzysz Janko z trudem nawiązywał więź z rzeczywistością. – Czy to jest data historyczna?

- Tyle się płaci, proszę pana. Kawa kosztuje!

A w głowie towarzyszojankowej snuło się: - *Uch! pokosztować! całować aż do kresu mocy te niebieskie paznokietki! całować uszka, nosek, blizenki, jeśli takowe posiada, całować brewki, rzęski, szyjkę, pępuszek... nie, nie! Nie posuwać się dalej! Jakże to kala, poniża kobietę... bo towarzyszki co innego, one takie świństwa lubią, wręcz przepadają, towarzyszka Ewelina Bronz, z którą wy mieliście przelotny stosunek płciowy na Sali konferencyjnej komitetu dzielnicowego Praga-Północ, ona bardzo przepadała!... jakie to w rzeczy samej trywialne!: dorośli ludzie na eksponowanych stanowiskach na golasa w miejscu przeznaczonym do nocnego spoczynku... a wy? ta nasza-wasza? ...wy tam gdzie kaczeńce! ona w wianku z lilij wzięłaby waszą głowę, towarzyszu, steraną głowę, o! tak! W smukłe dłonie, sypałaby na was płatki kwietne i gładziła po czaszce... pewnie, dzieci też trzeba jakoś mieć, to się samo nie robi, lecz nie po darwinowsku, zwierzęco... raczej tak, jak się o poranku w wiśniowym sadzie je świeży razowy chleb z masłem i szczypiorkiem...*

– A dlaczego kosztuje?

– Kosztuje, bo się za nią płaci. – Pan zagraniczny?

– Zagraniczny? – tow. Janko pojął sens pytania dopiero po dłuższej chwili. – O, nie! Ja jestem zupełnie krajowy.

– Wygląda pan tak dziwnie... – Piękna Czarna znowu się uśmiechnęła i Janko poczuł się tak wiosennie, jak w wigilię obchodów święta 1-go Maja. – ...i jest taki, jakby przyjechał z Argentyny albo Australii.

- Ja, widzicie, przyjechałem z Warszawy.

Odgarnęła falę włosów z czoła, uniosła w zdziwieniu brwi i, pieszcząc gardłowo „r”, powiedziała:

– To w Wa-r-r-szawie kawa da-r-r-mo?

– Zrozumcie, koleżanko, ja zajmuję stanowisko centralne, ja nie płacę. Ja nigdy nie płaciłem. Wszystkim wedle potrzeb! Zresztą, ja nie posiadam środków płatniczych, to nie leży w mojej gestii, od tego jest raczej minister finansów, nie ja!

– Płaci pan, czy wezwać milicję? – pogroziła palcem, ale wygrażanie to kolaborowało ze śmiechem. – Nieładnie udawać biedaka.

Janko spojrział na Piękną bacznie, a gdy odpowiedział, w głosie jego brzmiała absolutna pewność:

– Oczywiście, że wezwać milicję. Oni za mnie zapłacą!

– Ale z pana tupeciarz, cóż, moja strata – pokręciła z niedowierzaniem głową. – Nikt mnie jeszcze nie brał na brak pieniędzy!

Kręciła jeszcze chwilę głową, potem parsknęła i poleciały z niej – jak z Kalibana O. Bumby – kaskady perłopodobnego wesela.

Janko patrzył na nią i rósł! Gorąco mu się zrobiło ponad wszelką wytrzymałość, nie był już w stanie dłużej tłumić pożaru serca, więc mu się poddał: „*Będzie moja*” – podsumował krótkie duchowe wnioski. Dwukrotnie się lekko uklonił i najprawdziej w świecie zagruchał:

– Ależ wszystkie straty zostaną pokryte natychmiastowym przelewem! Czy teraz mogę już zabrać kawę?

Wyciągnął dłoń po szklankę, jej dłonie spoczywały na ladzie, dzieliło ich nie więcej niż 15 centymetrów; zbliżenie się dokonywało...

Wtedy poczuł, że coś mu łązi pod ubraniem, znał ten objaw z najgorszej strony, więc się skrzywił i spróbował przejść nad nim do porządku dziennego, nie było łatwo, to rozpełzające się coś było drapieżne i tkwiło w nim samym, chodziło po całym ciele, drapało, wciskało do ucha nieskromne pytania, spróbował łązęgę okiełznać marszczeniem brwi, ale nie szło...

Cień niepokoju przesunął się przez śniadą twarz Pięknej Czarnuli; zapytała:

– Pan cierpi?

– Od czasu do czasu, na migrenę. Tak gorąco... usiądę...

– Zaniosę panu kawę do stolika. Jaki pan czerwony na twarzy! Proszę usiąść i pooddychać głęboko.

Wyszła zza kontuaru i ujęła go za ramię. Dotyk palców sięgnął mu do szpiku, zwierzę darwinowskie, bo to ono łąziło, kłapnęło paszczą ostrzegawczo, a gdy biodro Czarnowłosej Pięknej zetknęło się z jego udem, bestia stanęła dęba i zaczęła gryźć gdzie popadnie... Wyorbitował!

Postawiła kawę na stoliku, powiedziała, by wołać, gdyby potrzebował pomocy, i wróciła za swoją barykadę. Został sam...

Z wolna otrząsnął się z nieodzownej po wzlocie apatii, musiał wyglądać upiornie, wszyscy się w niego wpatrywali, skulił się, wpatrzył w szklankę, zwierzę przysnęło, wypił łyk kawy, to był błąd, ocknęło się i z darwinowską przebiegłością zaczęło podsuwać mu w sam środek mózgu zwyrodniałe materiały do dyskusji:

Powiedzcie nam tow. Janko szczerze jak na samokrytyce... – szeptało – ...czy istnieje dostrzegalna bez stroju różnica między niewiastą państwową a prywatną? Widywaliście już kilkakrotnie nagie towarzyszki... i co? jak to całokształtnie wyglądało?... bo nam się na ten przykład wydaje: towarzyszki zawsze wypromieniowują z siebie pryncypialność i ta pryncypialność bywa namacalna... dobrze mówię? One nawet na szczycie... pojmujecie towarzyszu? na szczycie prokreacyjnej integracji... są takie bardzo uprzemysłowione... pamiętacie? towarzyszka Ewelina Bronz? ona tam... na tej sali... cały czas sprawiała wrażenie przodującej włóknarki obsługującej wielką maszynę ze szpulkami... a z kolei sekretarz Ziębińska... wiecie?... ta, z którą dopuszczaliście się czynu w przededniu X Plenum, ona w trakcie aktu... pojmujecie chyba jakiego?... ona miała w sobie bardzo dużo ze snopowizalki... Czy to jest reguła? ja nie wiem! chyba jednak one wszystkie przejęły się za bardzo

industrializacją i elektryfikacją – planowość i przerób, nie mówiąc już o rytmiczności, muszą mieć dla nich kolosalne znaczenie... A takie zupełnie prywatne kobietki!... mówię wam to w zaufaniu, towarzyszu mój!... one są zupełnie inne, takie mięciuchno podatne i oddane w każdych okolicznościach... nawet sobie nie wyobrażacie, jak milutko jest pogłodzić taką zupełnie prywatną panią... i w tych sprawkach z nimi nie rozchodzi się nigdy o przekraczanie norm i technologię... a jeżeli taka kobietka jest dodatkowo czarnulą i to dużą...

Dość! – powiedział to półgłosem.

Z dookólnych stolików patrzono. Ale apel do podświadomości nie zaskutkował – zupełnie: groch o ścianę.

... bo zresztą, tow. Janko, popatrzcie na to pod zupełnie innym kątem... wyrysujcie sobie we fantazji: mieliście z taką towarzyszką stosunek płciowy i potem wspólnie spełniacie obowiązki społeczne w ciele kolegiąlnym, może być gdzie indziej, no, w każdym razie na szczeblu krajowym... czy to ładnie? Nadzieży Krupskiej też się nie pcha na sztandary w bieliźnie! a idźmy dalej: taka goła kobieta zostaje sekretarzem generalnym i spuszcza się na nią siła przewodnia... Natomiast ona w godzinach wolnych od obowiązków służbowych pręży się i mruczy... kiedy?... gdy ją ktoś – często osoba klasowo niewyrobiona – drapie ... to jest ohydne! wy nie miejcie z tym nic wspólnego! ja wam dobrze radzę... te państwowe... one mają jakąś spółkę z powyhamowywanymi wagonami... Czy pojmujecie w co niniejszym idę? widywaliście chyba wagony bez parowozu na dworcu towarowym? taki wagon jedzie z górki przetokowej na zaporę i jest jak prawdziwy wagon ... Ale na zaporze – bum!... i już nie jedzie!... pary swojej nie ma i mało ma z pociągu, bo gdzie lokomotywa? – Nie pojedzie, nie da rady, ale pociąg udaje!

...a te prywatne niewiasty siedzą sobie w ciepłutkich malutkich łóżeczkach i nic nie przetaczają... wy przychodzicie... powiecie coś: śmiech... mówicie coś: śmiech... one głaszczą: śmiech... głaszczecie: śmiech!... A jak się wyśmieją, to leży toto na otomanie i piszczy... a wy sobie poczynacie opiekuńczo do woli jak macie potencjał i przyzwyczajenie... A przecież z prezeską Sądu Najwyższego to by tak nie można!... też muszę wam pospieszyć z napomknięciem – mnie się ta problematyka trzyma mocno! – ono samo ciało bywa u kobiet państwowych i prywatnych nieodwołalnie wyróżnicowanie... Bo popatrzcie: towarzyszki rozpuszczają sobie ciała w ciele ustawodawczym, ciele opiniotwórczym, w ciele doradczym... w wielu innych ciałach państwowych i społecznych... czy takie rozpuszczanie się wychodzi na zdrowie? na urodę?... natomiast prywatne kobietki nigdy niczego w niczym nie rozpuszczają i mają milutkie ciałeczka ze słodkimi gdzieniegdzie... ohoho, cudowności!... i tam nareszcie, bez rewolucji,

wszystko jest wedle potrzeb!... oj! wy błędziliście dotąd... pobłądziliście! – Czas to wyprostować!...nie jesteście już bardzo młodzi! nie!... wy musicie mieć taką prywatną kobietę, na to nie ma już żadnego sposobu zaradczego, ja wam to mówię; tak!... wy się konsultujcie z samym sobą i zróbcie, co należy, też z samym sobą... ale się pospieszcie i przyłóżcie do dzieła solidnie!... bo przecież nie jest nigdzie powiedziane, że taka prywatna kobieta – na ten przykład czarnawa i cudna – jak ten Filip z konopi zechce się akurat z wami upaństwowić...

Od dłuższego już czasu tow. Janko szczypał się boleśnie w udo – bez skutku; teraz ledwo się szczypnął w ucho – przeszło! Ale pozostawiło ziarno i osad.

Kawę pił malutką łyżeczką – była wspaniale słodka. Klienci zerkali na niego spode łba – byli cudownie słodcy. Ona stała, wspierając dłoń na lasce ekspresmaszyny – i była z tego wszystkiego najśłodsza!

Gdy skonstatował, wstał i podszedł do... A oczy miał jak dwie planety: Jowisz i Wenus – a skupiony był jak materia w środku słońca; a głos poszedł z niego jak Pierwsza Część Czwartej Symfonii Opus Sześćdziesiąty Ludwiga Van Beethovena:

– Ja tu niezadługo, koleżanko, wrócę... Bar jest najmiłszy w całej południowej Polsce!

Ona spłonila się bardzo wyraźnie i głos, powieki oraz wargi jej drżały, kiedy odrzekła:

– Proszę... Bardzo proszę!

I czworo oczu rzuciło się na siebie parami.

Potem tow. Janko jednym wielkim ściśnięciem woli skupił całą determinację klasową i wyszedł. Nie oglądał się za siebie wcale! Wyszedł i szedł jak ślepiec. Być może stan ten trwałby wieczność, lecz – potknąwszy się o porzuconą na chodniku cegłę – oprzytomniał i wtedy dojrzał nieopodal jakże dobrze znaną od dzieciństwa kamieniczkę ze sterczącym pod bramą wiernym Osipem. Przytknął palec wskazujący do centralnej części czoła, odchrząknął i powiedział do siebie, ale bardzo głośno:

– Wy to zrobicie.

Nie wiedział towarzysz Janko, bo skąd, że wkracza właśnie na równię pochyłą, po której będzie się zsuwać, ruchem jednostajnie przyspieszonym lecz z żelazną konsekwencją aż do tragicznego końca.